

TAJLANDIA

Pojechatam po mitość



Joanna Morea

Joanna Morea

Tajlandia

Pojechałam po miłość

© Copyright by
Joanna Morea & e-bookowo

Projekt okładki:
Jacek Brodowski

ISBN e-book 978-83-7859-262-4
ISBN druk 978-83-7859-263-1

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2013

Joanna Morea: *Tajlandia. Pojechałam po miłość*

Patronat medialny:



kobietapuszysta.pl

Walbrzyszek.com

Część I

Rozdział 1

Siedzę na zatłoczonym lotnisku Heathrow w Londynie. Terminal 3. Tłumy ludzi kręcą się jakby zupełnie bez celu. Panuje tu straszliwy rozgardiasz. Jestem zmęczona. Na sekundy tracę świadomość. Momentami zastanawiam się, gdzie ja właściwie jestem. Otaczają mnie całe rodziny Hindusów, Sikhów, Muzułmanów i niewielu Europejczyków. Trochę się gubię. Równie dobrze mogłabym być teraz na lotnisku w Indiach.

Samolot, którym przyleciałam z Warszawy, wylądował o czasie. Trochę trzęsło przy podchodzeniu na pas lotniska. Jest środek zimy, opóźnienia są normą. Zresztą tego roku zima jest wyjątkowo ostra i śnieżna.

Nieco ociężałe podnoszę się z ławki. Czekam jeszcze trzy godziny oczekiwania na samolot do Bangkoku. Lecę, wykorzystując voucher z anulowanego kilka miesięcy temu biletu na przelot do Sydney. Okazuje się właśnie, że samolot, którym będę niebawem podróżowała, leci właśnie do Sydney, a w Bangkoku ma tylko międzylądowanie. Co za ironia!

Ale czym jest ta mała ironia z moją burzą w pobudzonej właśnie kawą głowie. Po co właściwie tam leczę? Owszem, kiedy nadarzyła się ta możliwość, bardzo się ucieszyłam.

Podróżowanie płynie w moich żyłach, uwielbiam to robić. Ale to nie najlepszy moment mojego życia na taką wycieczkę, do tego samotną. Tak, zdecydowałam się wyruszyć sama. Pomyślałam, że potrzebuję oddechu, potrzebuję oczyścić umysł i złapać dystans do wszystkiego, co dzieje się właśnie w moim życiu. A co się dzieje?

Ktoś trąca mnie lekko, kiedy spacerując po korytarzach lotniska, pociągam kolejny łyk kawy.

– Sorry! Bardzo przepraszam! – przerażony około 30 letni mężczyzna powtarza co chwila, spoglądając na niewielką plamę, jaka powstawała właśnie na mojej bluzie. Plama latte błyskawicznie wsiąknęła, przybierając strzępiaste wzorki.

– Nic się nie stało, naprawdę! – uspokajam go.

– Nie wiem, jak ja to zrobiłem!... Przepraszam!

– Żaden problem.

– A twoje kawa? – pyta. – Może kupię ci następną?

– Nie, nie trzeba, dziękuję.

– A... dokąd lecisz, jeśli można?

– Do Tajlandii... zabiorę zatem trochę brytyjskiej kawy na swojej bluzie – żartując, wskazuję swoją plamę.

– A ja do Singapuru, a dalej do Nowej Zelandii.

– Super.

– Tak, chociaż teraz żałuję, że też nie lecę do Tajlandii – mówiąc, uśmiecha się nieśmiało.

Zastanawiam się, czy potrafił mnie niechący czy z rozmysłem.

– Nie teraz, to kiedy indziej tam polecisz – odpowiadam.

– Tak, masz rację.

Mężczyzna chce jeszcze coś powiedzieć, ale ja zupełnie nie mam ochoty na pogawędki. Wymyślam na poczekaniu jakiś powód, żeby zakończyć tę rozmowę.

– Przepraszam cię, ale powinnam wykorzystać jeszcze Europę i zadzwonić do kilku znajomych.

– Oczywiście... tak... przepraszam, że cię zatrzymuję.
Mężczyzna znika po chwili, a ja cóż, zagłębiam się w rozmyślaniu o swoim przedziwnie układającym się życiu.

Moje małżeństwo nie przetrwało próby. Rozpada się po 10 latach wspólnej historii.

Potem przechodzę chwilowe załamania, później rozwód, który w odcinkach trwa do dzisiaj. Boję się nowych związków i ich unikam, jednocześnie tęsknię za tym, czego nie miałam w małżeństwie, za ciepłem i męskim wsparciem, za partnerem, za normalnością i za tym najważniejszym, za miłością.

Mniej więcej rok po rozstaniu powoli wychodzę ze skorupy i dostrzegam mężczyzn. W międzyczasie wracam do pozostawionej po ślubie kariery zawodowej i tu zderzenie z polską, brutalną rzeczywistością... brak kontaktów, brak wsparcia, brak szans na cokolwiek.

Pierwszy krótki flirt, bardziej fascynacja – nieudany. W życiu zawodowym... no cóż, próbuję, czego się da, ale nie za wszelką cenę. Kolejny flirt – brak zaangażowania z mojej strony, ale miłość z jego. Niestety to doprowadza mnie do jeszcze większego załamania i frustracji. I wreszcie przydarza mi się pierwszy romans – nieudany i dość głęboko przeżyty. Za namową koleżanek zaczynam krótką zabawę w sieci zakończoną rozczarowaniem i jeszcze głębszą frustracją. A zawodowo? Jakieś bardzo pozorne i nic nie znaczące ruchy. Ale tu staram się nie poddawać i dużo pracuję.

Kolejny flirt oparty na wspólnym biznesie – wielkie nadzieje (rozbudza on), wchodzę w to z rozsądku. Niestety to całkowita porażka, która jest najświeższą (sprzed tygodnia) i której skutki jeszcze odczuwam. Na całe szczęście nie byłam zaangażowana, ale niestety to jeszcze bardziej pogłębiło i tak już dalece zaawansowane poczucie porażki.

A teraz właśnie czekam na samolot do Bangkoku. Lecę tam i nie wiem, po co to robię. Ok, ta podróż ma być lekiem na moją frustrację. Chcę się odbudować, odnaleźć i wzmocnić. Żadnych facetów!!!! Po co wybrałam Tajlandię, przecież byłam tam już kilka razy?

Tajlandia to taki kraj, w którym czuje się oddech wolności. Nie mam na myśli rozwiązości i wolności seksualnej, owszem ten kraj to mekka nocnego życia i wszelakich wolnych związków. I każdy, kto choć raz odwiedził to miejsce, dobrze to wie. Dla mnie jednak, dla samotnie podróżującej kobiety, żaden inny kraj azjatycki nie wydaje się tak bezpiecznym i tak łatwym do podróżowania jak Tajlandia. A jeśli chcę na chwilę parę uwolnić się od przeszłości, przemyśleć wszystko od nowa w ciszy i spokoju, to właśnie tu tę ciszę oraz wolność umysłu mogę znaleźć i jej doświadczyć. Tajlandia do lat czterdziestych ubiegłego wieku nazywała się Syjammem, co oznacza ciemny lub brązowy, po czym stała się Tajlandią. Słowo Thai oznacza wolność. Thai to też grupa etniczna zamieszkująca centralną część kraju, ale dla mnie idea wolności zawarta w słowie Thai emanuje pewną magiczną potęgą. Dla mnie, podróżniczki czy też turystki z Europy, obserwatorce, która nie przekracza zastanych tu prawideł społecznych, nie przenika głębiej w istniejące tu podziały, jest w tym słowie pewna spójność, która do mnie przemawia. Moja wolność w kraju wolności.

Uwielbiam też tajską kuchnię. To bogactwo smaków i aromatu. Moja ulubiona trawa cytrynowa w zupach czy w owocach morza i sosy oparte na mleku kokosowym. Ja zwyczajnie tęsknię za smakami. Noszę je gdzieś w świadomości i w ustach, a kiedy tylko pomyślę nawet o najbardziej popularnym, ulicznym Pad Thai, zaraz dosłownie ślinka mi cieknie.

Ujmująca jest życzliwość Tajów, uśmiech oraz spokój, jaki z nich emanuje. Ich niemal wiecznie uśmiechnięte twarze to idiom, to cecha charakterystyczna. Nie bierze się to tylko z wyznawanej religii, 95% populacji to Buddyści, ale z uwarunkowań kulturowych, z azjatyckich zwyczajów. Tajlandia nazywana jest często krajem uśmiechu. Ludzie uśmiechają się większość dnia i nie tylko ze względu na słońce. Uśmiech jest narzędziem naprawczym, kartą przetargową, lekarstwem na każdą okazję. Jest także usprawiedliwieniem dla gaf, nietaktów i niewiedzy. Uśmiechem się przeprosza, dziękuje, a także unika konfliktów. Tajowie wolą się uśmiechać niż żałować, że powiedzą coś za wiele czy też zrobią coś niepotrzebnego. Oni, podobnie jak inni Azjaci, nie odpowiadają nigdy negatywnie. Słowo NIE dla nich właściwie nie istnieje. Nawet jeśli mają skłamać, niczego nie zanegują i nie odmówią. Wtedy właśnie z pomocą przychodzi uśmiech, który osłodzi każde kłamstewko, do którego można się dopuścić, aby tylko nie doprowadzić do powiedzenia słowa NIE, a tym samym nie utracić twarzy.

Jednak tak naprawdę poza niezwykłym bogactwem kulturowym i obyczajowym tego kraju tym razem przywiódło mnie tu coś innego. Zafascynowała mnie jedna z wysp na Morzu Andamańskim. Nie wiem, skąd ją wytrzasnęłam, bo nie z żadnego przewodnika. Pewnie natknęłam się na informację o niej, eksplorując strony internetowe. Teraz nawet nie pamiętam, co mnie w niej tak urzekło, ale skoro już czekam na ten samolot do Bangkoku, to właściwie w jednym celu. Chcę dotrzeć właśnie na tę wyspę.

Wyciągam z torby przewodnik, książkę o Tajlandii, żeby skończyć to uzalanie się nad samą sobą i zająć się czymś ważniejszym na tę chwilę. Zapisałam gdzieś w kalendarzu

nazwę wyspy, odszukam ją teraz i opracuję plan dojazdu. Przed opuszczeniem Polski niestety nie miałam na to czasu. Cały zamysł tej podróży był równie zaskakujący jak wybór kierunku. Tempo przygotowań zaś błyskawiczne. Zawsze najtrudniejsza jest organizacja całego organizmu, jakim jest dom i dziecko. Wszystko i wszystkich trzeba zostawić ze stuprocentowymi wytycznymi i przygotować plany awaryjne na nieprzewidziane wydarzenia. I to właśnie starałam się zrobić w ciągu bardzo krótkiego czasu, dosłownie kilku dni.

Byłam w Tajlandii już kilkakrotnie, toteż mogłam sobie pozwolić na pełną improwizację. Nastawiłam się na odwiedzenie wysp, dlatego intensywne i przyspieszone przejrzanie stron i kilku forów internetowych dało mi szybki wgląd w temat i pozwoliło natychmiast wskoczyć w psychologię podróżnika. Bardzo sprawnie potrafię przeistoczyć się z kobiety, powiedzmy „damy”, w traperkę. Uznałam, że ten mój krótki, kilkunastodniowy wyjazd nie wymaga wnikliwego przygotowania trasy.

Teraz zaczynam kartkować strony przewodnika. O jest! Odnajduję na mapie wyspę Ko Rang¹. „Super” myślę sobie. Zaraz, zaraz... ta sama nazwa, ale nie to wybrzeże, tamta wyspa nie leży w zatoce Tajskiej. Zastanawiam się czy nie pomyliłam czegoś w nazwie wyspy. Zmieniam rozdział na ten, gdzie podane są informacje o Andamańskim wybrzeżu. Jest! Ale niestety tylko wzmianka. Nie wiadomo, jak się na nią dostać i czy w ogóle turyści tam docierają. Pamiętam tylko, że wyspa znajduje się blisko granicy z Myanmar, ta wzmiankowana tutaj w przewodniku również, a zatem musi to być ta właściwa. To już coś, jakaś pierwsza informacja. Czyli czeka mnie mała przygoda. A to brzmi już ekscytująco.

¹ Nazwa wyspy została zmieniona celowo przez autorkę.

Spoglądam na zegar na ścianie. Jeszcze godzina. Odszukuję na tablicy informacyjnej numer wyjścia do odprawy i podążam w tym kierunku. Już z daleka dostrzegam Anglika, który dopiero co zrobił mi plamę z kawy na bluzie. Uśmiecha się do mnie. Wydaje się być bardzo miły, ale czuję, że mam uczulenie na facetów. Nie mam ochoty na flirty, te urokliwe uśmieszki, wyczuwania, oceniania, na tę całą wstępną gierkę, żeby to ocenić możliwości ewentualnego poderwania. Jestem tym zmęczona.

Odwzajemniam się jednak nieśmiałym uśmiechem. Mężczyzna zabawnie spogląda, czy przypadkiem nie trzymam w ręku żadnego napoju i nie dochodząc zbyt blisko, zagaduje.

- Wciąż czekamy?
- Tak, ja już niedługo.
- To szczęśliwej podróży!
- Wzajemnie.

Chyba wyczuł moje niezbyt chętne do pogaduszek nastawienie. To miłe z jego strony. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że przecież wie, dokąd lecę i dobrze wie, że mój samolot odlatuje dopiero za godzinę. Tak jak i ja dobrze wiem, że on będzie czekał jeszcze trochę dłużej. Oj, chyba trochę przesadzam z tą alienacją. A może nawet jestem niemila. On wygląda na zwykłego trapera, a nie podrywacza. Oglądam się za siebie. Stoi nieopodal przy jednym ze sklepów wolnocłowych. Spogląda niepewnie w moją stronę. Reaguję nieznacznie na niego. Trzyma w ręku czekoladę, jakby przymierzał się do jej kupowania. Wskazuje mi ją, jakby chciał zapytać, czy mam na nią ochotę. Odruchowo kiwam głową, że tak. Uwielbiam czekoladę. „Co ja robię?” – pomyślałam. No właśnie, co ja robię, przecież nie mogę zdziżyć. Poza tym za chwilę nasze drogi się rozejdą. I ruszam w jego stronę.

– Czy mam ci doradzić w wyborze czekolady? – pytam żartobliwie.

– A jaką lubisz najbardziej?

– No ja... z rodzynkami.

– A ja chyba tę z nadzieniem. Poczekasz? Zapłacę tylko.

– Jasne.

On podchodzi do kasy, a ja w tym czasie do perfum. Jak zwykle. To najprzyjemniejszy etap oczekiwań na lotnisku, czyli wypróbowywanie wszystkich zapachów. Ukradkiem wylewam na siebie kilka. Już jest mi znacznie lepiej. Wyszukiwanie nowych perfum zawsze poprawia mi nastrój.

– A, tutaj jesteś?

– Wiesz, jestem mimo wszystko normalną kobietą – wyjaśniam, odstawiając na miejsce kolejną sprawdzaną przeze mnie buteleczkę perfum.

– Mimo wszystko? – spogląda zdziwiony.

– Wiesz, bo...

– Nie ma problemu, nic nie wyjaśnij. Proszę, to dla ciebie. W Azji przypomnisz sobie z utęsknieniem trochę europejskich czekoladowych klimatów – i podaje mi czekoladę z rodzynkami.

Siadamy na wolnych ławkach i przegadujemy cały czas, aż do mojego odlotu. Anglik odprowadza mnie do mojego punktu odpraw i żegnając się, mówi:

– Masz trochę za dużo smutku w oczach. Nie wycofuj się ze świata. Zwyczajnie żyj, bo najgorsze jest uczucie utraconych chwil. A to my je tracimy na własne życzenie, z własnego wyboru. To nie dzieje się przez coś zewnętrznego, nie tracimy szans przez złą koniunkturę, przez kogoś innego, bo nam przeszkodził, przez nieodpowiednie momenty, brak szczęścia, zły układ planet, czy przez inne czynniki zewnętrzne. Tracimy szanse przez samych siebie, bo się z różnych powodów wycofujemy. Nie rób tego. Napelnij

swoje oczy radością.

Patrzę na niego i stoję nieruchoma. Jestem zaskoczona tak mocno, że nie wiem, co powinnam teraz zrobić, co powiedzieć.

– Ale skąd...

– Zobacz, już prawie nie ma ludzi do odprawy. Zaraz odleci twój samolot.

– O rany! Słuchaj... dziękuję, bardzo ci dziękuję.

Ściskamy mocno swoje dłonie na pożegnanie.

Jako jedna z ostatnich pasażerek siadam w swoim fotelu. Niestety nie mam miejsca przy oknie, ale jest ciemna noc i jest mi wszystko jedno. Samolot startuje, a ja wciąż jestem pod wrażeniem słów Anglika. Nawet nie wiem, jak ma na imię!

Lot do Bangkoku jest bardzo spokojny. Moimi sąsiadami jest dwoje starszych ludzi. To małżeństwo. Australijczycy. Są dla siebie bardzo uprzejmi. Przesypiam większość czasu, budząc się tylko na posiłki. Nawet nie przeszkadza mi płacz dzieci jednej z pasażerek.

Łądujemy o czasie. Rozgrzane powietrze przenika każdą szparą do klimatyzowanego lotniska. Zrzucam z siebie wszystkie bluzy. Zostaję tylko w podkoszulce i spodniach. A mimo to ledwie mogę wytrzymać. Nawet nie myślę teraz, co będzie, kiedy stąd wyjdę na zewnątrz. Wymieniam na lotnisku pieniądze i zastanawiam się, co robić dalej.

Jeszcze z domu zarezerwowałam przez Internet pokój w jednym z niedrogich hoteli w pobliżu serca turystycznej części wielkiego, wielomilionowego Bangkoku, czyli w pobliżu Khao San Road, ale nie dostałam żadnej odpowiedzi, więc właściwie nie mam żadnej rezerwacji. Jestem przyjemnie

bezdomna. Zwykle nie rezerwuję hoteli wcześniej tylko szukam na miejscu, ale tym razem, kiedy jestem sama i przylatuję późnym popołudniem, chciałam mieć pewność, że nie będę szukała godzinami taniego pokoju. Teraz jednak właściwie nie mam większego wyboru. Jest dość późno. Tutaj wcześnie robi się ciemno. Jestem zmęczona, a do tego organizm musi się zaaklimatyzować i przyzwycząić szybko do wysokiej temperatury powietrza, wilgotności oraz zmiany czasu. Już głowa daje mi pierwsze oznaki tych zmian.

Zaraz po odprawie opuszczam lotnisko. Na zewnątrz panują warunki jak w parowej łaźni, z której nie ma wyjścia. Szukam przystanku, skąd odjeżdżają pośpieszne, miejskie autobusy. Siedzi tu już grupa turystów takich jak ja, z plecakami. Zrzucam swój, który trochę mi już ciąży na plecach i podchodzę do niedużego, otwartego kiosku. Trochę leniwie obsługują mnie trzy rozgadane między sobą Tajki.

Po około 10 minutach podejżdża klimatyzowany autobus. Siadam przy oknie. Słońce chyli się ku zachodowi. Pierwsze pomarańczowe smugi światła otulają szklane ściany wieżowców i tonące w bujnej roślinności ogrodów tajskie domy. Czuję się, jakbym wracała na stare śmieci. Wszystko jest mi takie znajome, mimo, że nie rozpoznaję ani dzielnic, ani ulic. Blask zachodzącego słońca przywołuje wspomnienia. Ale i zapach gorącej wilgoci zmieszany z urbanistycznymi oparami rysuje przede mną obrazy z niedalekiej przeszłości. Wszystkie moje zmysły uczestniczą w tym intensywnym powrocie do historii. Prawie nie zatrzymując się nigdzie indziej po drodze, przez około czterdzieści minut autobus wiezie nas prosto do mekki turystycznej, jedynej w swoim rodzaju na całym świecie, do Banglamphu i jej najślawniejszej Khao San Road².

² Ulica Khao San.

Ulica Khao San była w przeszłości miejscem, gdzie odbywał się największy ryżowy targ w Bangkoku i przyciągała tylko mieszkańców miasta. Ponieważ usytuowana jest w pobliżu Wielkiego Pałacu Królewskiego, szybko stała się wygodnym punktem, gdzie zatrzymywali się turyści. W ciągu ostatnich dwudziestu lat powstało tu mnóstwo hoteli i guesthousów³, tak że dziś Khao San jest mekką dla przyjeżdżających tu backpackerów. Nie ma podobnego, tak barwnego, zaskakującego i nieprzewidywalnego miejsca w całej Azji.

³ Domy gościnne, hoteliki.